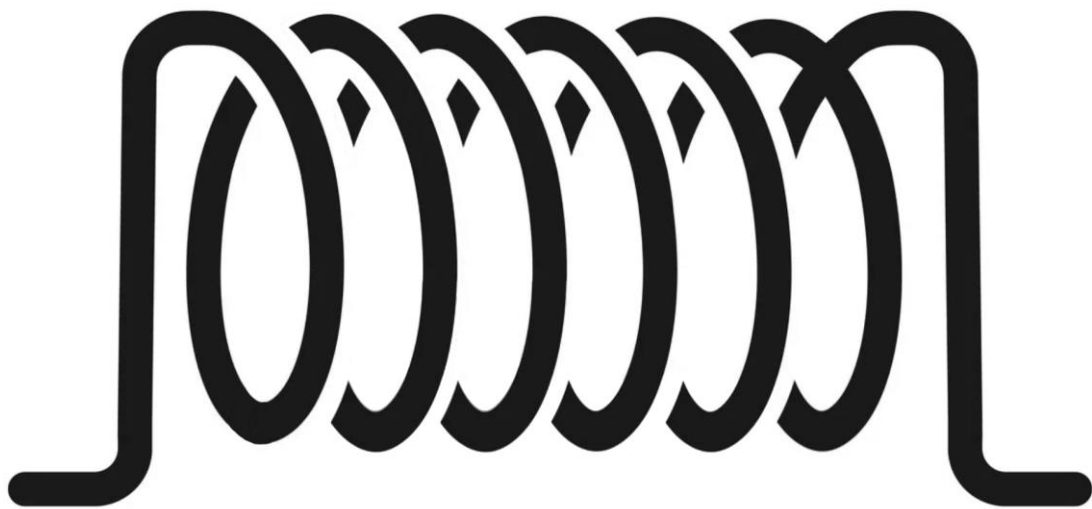


Jarosław Księżyk



# PUNKT PRZYWRACANIA

Seria: INDUKCJA

[WWW.JAROSLAWKSIEZYK.PL](http://WWW.JAROSLAWKSIEZYK.PL)

## SPIS TREŚCI

---

Postępowanie przygotowawcze .....	2
Postępowanie główne .....	11
Wizja lokalna .....	14
Postępowanie wykonawcze .....	18



## POSTĘPOWANIE PRZYGOTOWAWCZE

---

Na balkonie wisi szmata. W niedzielę! W dzień święty!

Dopiero co z oporem otworzyłem oczy, a już widzę żółtą ścierę na sznurze do suszenia bielizny. Jest mokra, pomięta, przypięta tylko jedną żabką. Wciąż w pozycji horyzontalnej, wpatruję się w skapujące z niej krople wody, uderzające o rozgrzane kafle na podłodze. Drażnią mnie do tego stopnia, że aż wstaję i siadam na skraju łóżka.

Kto ją tam powiesił? Kobieta? Nie, przecież w moim domu od lat nie mieszkała żadna kobieta. A tym bardziej taka, która przejmowałaby się czystością podłóg. No chyba, że matka, ale przecież ona mieszka w innym mieście. Miałyby przyjeżdżać specjalnie po to, by umyć mi podłogi? Nie w niedzielę.

No więc kto? Jakiś nieznajomy? Choć wiem, że ta hipoteza jest bzdurna, wstaję, a następnie człapię w kierunku drzwi wejściowych. Zawarte na zasuwę. Dla pewności kilkakrotnie naciskam klamkę. Nic. Wracając patrzę w przedpokojowe lustro. Oczy podkrążone, cera ziemista, z jakimiś plamami. Schudłem. Ale nie tak jakbym chciał, zdrowo, soczyście, fit, tylko tak jak chudną dziadki na starość, parchacie, zwiotczale i smutno. Renta mi nie służy.

Wychodzę na balkon, na gorąc. Zaglądam do sąsiadki. Ona chyba jakiś czas temu wyjechała. Okna pozamykane, kwiatków brak, gruba warstwa pyłu na podłodze. Cóż, to na pewno nie jej szmata. Drugiego sąsiada nie mam, uroki skrajnego mieszkania. Zatem spoglądam w dół, jakbym tam mógł odnaleźć coś zaskakującego. Nikt o zdrowych zmysłach nie wdrapywałby się tutaj, dobrze o tym wiem. A już na pewno nie po to, by wywiesić na moim sznurze to żółte paskudztwo! Z tego wszystkiego tylko kręci mi się w głowie.

Wracam na kanapę, ciężko wzdychając. Do zdenerwowania dochodzą niepokój, strach, a przede wszystkim zagubienie. Próbuję sobie przypomnieć, co robiłem przed drzemką? Co jadłem rano na śniadanie? Która jest zasadniczo godzina? Dawno się tak nie czułem, choć samo uczucie jest dziwnie znajome. Mam ochotę wymiotować.

Siedzę tak bez celu, opanowując nudności. Brakuje tylko tykania zegara, który leniwie odmierzałby czas. Na szczęście takiego nie posiadam, inaczej kompletnie bym zwariował. No właśnie... czy zwariowałem? Ta myśl też jest dziwnie znajoma.

Nagle przed oczyma z szybkością błyskawicy przelatuje mi kilka obrazów. Tabletki, szpital, kamera.

– Właśnie! – wykrzykuję, podrywając się z łóżka. – Ty głupi, przecież masz rejestrator wideo.

Podeksytowany siadam na niewygodnym krześle. Wlepiam ślepią w mały monitor. Myszka cofam się o pół godziny. Na ekranie śpię. O godzinę... jest! Znaczy nie ma mnie na łóżku. Sprawdzam inne pomieszczenia... jestem w kuchni. Biorę do ręki czajnik, zalewam herbatę w ulubionym kubku, a potem trącam go łokciem. Ten spada, rozwalając się na dziesiątki małych kawałeczków. Wielka plama widnieje na środku pomieszczenia. Schylam się pod zlew, skąd wyciągam żółtą szmatę. Tę samą, która właśnie wywołuje zgorzenie u połowy osiedla.

Wściekły wyłączam monitor, domyślając się co było dalej. To ja sam ją tam powiesiłem, w dzień święty! Biegnę na balkon, zrywam powód wstydu ze sznura, ciskam go w róg, a potem siadam na kafelkach. Patrzę na swoje ręce, jak na ręce obcego człowieka. Nagły atak paniki wyciska mi tży z oczu. Wiem jakby coraz mniej. Jeszcze chwila a zapomnę... ile właściwie pokoi ma moje mieszkanie? Szukam odpowiedzi niczym przysłowiowej brzytwy tonącego. Chyba ze trzy!



Biegnę, aby sprawdzić tę liczbę, zapisaną gdzieś w mojej pamięci. Zupełnie jakby jej potwierdzenie miało mieć cudowną, naprawczą moc. Jakby po odnalezieniu trzeciego pokoju wszystko miało wskoczyć na swoje miejsce.

W przedpokoju faktycznie są jeszcze jedne drzwi! Otwieram je z taką siłą, że aż uderzają o dużą szafę. Widzę deskę do prasowania, garderobę i kupę kartonowych pudeł z rupieciami. Przypominam sobie to wszystko. Jak prasuję tam, słuchając podcastów.

Cieszę się jak dziecko. Brakuje tylko, abym zaklaskał w ręce. Na nieszczęście euforia nie trwa zbyt długo. Mam em–cztery oraz głowę pełną niepokoju. Cały sztywnieję, chyba z nerwów.

Chcę uciec. Może pójdę spać? A jak wstanę, będzie już dobrze! Wcale nie – podpowiada mi coś w głowie.

Tym razem unikam spojrzenia w pionowe lustro przy wieszakach z kurtkami. Drepczę bez sensu, aż z pomocą przychodzi mi mój organizm. Doniosły alarm z żołądka nadaje mi chwilowy cel. Jeść!

Staję przed lodówką jak wryty. Z niedowierzaniem czytam czerwony napis, nakreślony tłustym markerem na białej kartce w kratkę, przyciśniętej do metalowych drzwi dwoma magnesami w kształcie uroczych rudych kociąt.

„Nie pamiętasz, kiedy ostatnio jadłeś?” – pytają kotki.

Pod spodem widnieje numer telefonu stacjonarnego.

Faktycznie, nie pamiętam. Podejrzewam, że jadłem śniadanie. Podejrzenie to graniczy z pewnością, jednak nie mogę powiedzieć, abym to pamiętał.

Przez następne kilka minut chodzę wokół komody, na której leży aparat telefoniczny. Wyczuwam przeciwnika niczym bokser na ringu. Zasadniczo nie mam ochoty z nikim mówić, lecz ciekawość jest silniejsza. A już na pewno jest chwilowo silniejsza od lęku. Chwytam za słuchawkę i czym prędzej wykręcam numer, zanim się rozmyślę.

Pierwszy, drugi, trzeci sygnał. Już mam zamiar odłożyć. Chcę odłożyć. Pragnę, by nikt się z drugiej strony nie odezwał! Wtedy jednak słyszę kobiecy głos.

– Dzień dobry. Z tej strony Agata. Czy coś się stało?

– Nie. Znaczy, trochę tak. Nazywam się Witold i...

– Wiem, jak się pan nazywa, panie Witku. Niech pan weźmie głęboki wdech, a potem powie wszystko od początku.

To nawet fajnie, jak ktoś mówi mi co mam robić. Biorę wdech, a nawet trzy, dla pewności.

– Pewnie wyda się to pani głupie, ale...

Przerywa mi znowu.

– Panie Witku. Jestem tutaj, żeby panu pomóc. Proszę bez skrępowania o wszystkim opowiedzieć – naciska, wciąż pozostając przychylną.

Ma przyjemny głos. Ciepły, delikatnie zmysłowy, choć z drugiej strony konkretny. Kobiecy, a jednocześnie pozbawiony częstej u płci pięknej piskliwej nuty, której osobiście nie znoszę.



Wyobrażam sobie Agatę, co pozwala mi choć na chwilę zapomnieć o strachu. Męskie odruchy dominują nad skołowanym umysłem. Zapewne jest brunetką, ma proste, równo przystrzyżone włosy i pełną, okrągłą, przyjemną twarz. Uśmiechnięte słoneczko. Imię Anna odbija się echem od moich myśli. Kim jest Anna?

– Panie Witku, jest pan tam?

– Tak, jestem.

– Tak więc, opowie mi pan o swoim problemie, czy nie?

A żeby wiedziała, że opowiem. Mam ochotę wydusić to z siebie, jakkolwiek absurdalnie nie wyglądałyby moje problemy. Niech się zmierzy z nimi, Agata, słoneczko, anonimowy powiernik. Niech pomyśli, że jestem wariatem. Wszystko mi jedno.

Agata reaguje ze zrozumieniem. Czuję, jak uśmiecha się do słuchawki.

– Dobrze – mówi ciepło i spokojnie.

– Dobrze? No nie wiem – podśmiewam się, rżnąc głupa. Nie ma to jak dobra mina do złej gry.

– Muszę zadać jeszcze kilka pytań – ciągnie kobieta.

– Ależ proszę – nie wyrażam sprzeciwu.

W jakiś sposób cieszy mnie ta konwersacja.

– Proszę powiedzieć, co pan pamięta? Co pan ostatnio robił?

„No i dup” – myślę sobie. Czar pryska niczym bańka mydlana.

Niepokój powraca ze zdwojoną siłą. Nie pamiętam ani śniadania, ani tej szmaty, ale co ostatnie zapadło mi w pamięć? Wizyta w łazience! Tylko że ona mogła być już dawno. Zupełnie nie potrafię umiejscowić jej w czasie. Chyba czytałem wtedy jakiś artykuł. Może mógłbym sprawdzić historię przeglądarki w telefonie? Nagle – objawienie! Głos mi się łamie, ale wreszcie mam co odpowiedzieć.

– Wczoraj w telewizji leciał Bond, chyba Golden Eye.

Wychodzę na głupka, myślę sobie. Nie dość, że wariat, to kretyn.

– Dobrze – przytakuje ona. – W takim razie już wszystko wiem. Proszę nigdzie nie wychodzić. Przyjadę w ciągu godziny.

– Przyjedzie pani? – mówię zaskoczony.

– Takie są procedury.

– Procedury?

– Nie traćmy czasu na zbędne wyjaśnienia – mówi jakby ostrzej. Wyczuwam w niej kobietę konkretną, twardo stąpającą po ziemi.

Nie mogę się nie zgodzić. Odkładam słuchawkę, głośno konstatując, że teraz to już, kurwa, dopiero nic nie rozumiem.

Robię sobie herbatę oraz kanapkę z żółtym serem. Żółtym jak ta szmata, którą wytarłem poprzednią herbatę, a która leży obecnie na balkonie. Idę na ten balkon, piję gorący napój na słonecznym gorącu.



Zajadam kanapkę, patrząc na szmatę jak na obciążający dowód w sprawie sądowej. W głowie mam mętlik. Coś jakby mi się rozjechało.

Myślę o Agacie. Jak mężczyzna. Wyobrażam ją sobie, jak idziemy na kawę. Jak ukradkiem patrzę na jej nogi, jak zapamiętuję jej uśmiech, jak czytam jej gesty. Jak wracam sam, wolno paląc papierosa, usatysfakcjonowany męską satysfakcją. W tej jedynej dziedzinie moja głowa działa jeszcze dość dobrze. To jest moja brzytwa.

W końcu słyszę dzwonek do drzwi. Minęły trzy kwadransy.

Podglądam ją przez judasza. Adrenalina na chwilę przesłania mi stres z powodu mojego problemu. Coś tam zapomniałem, nieważne! Za to jaka z niej świetna laska. Choć w niczym nie przypomina mojego o niej wyobrażenia. Nie ma też prostych włosów. Jest niską, filigranową blondynką ze ślicznymi lokami, ciekawym noskiem oraz sporą dozą zmęczenia na twarzy. Jest smutna. Ja też jestem smutny. Bądźmy smutni razem. Otwieram drzwi.

– Dzień dobry, pani Agato – mówię dziwnie sztucznie.

– Dzień dobry panu.

– Witek – od razu podaję jej rękę.

Ona ujmuje ją z dziwnym zakłopotaniem. Nie patrzy mi w oczy, unika mojego wzroku.

– Agata – odwzajemnia uścisk, po czym przemyka obok mnie.

Zamykam drzwi, myśląc o naturze świata i zawodności umysłu, czy też jego podrzędnej roli wobec instynktów. Kobieta, która właśnie zdejmuje buty w moim przedpokoju, niczym nie przypomina tej ulepionej przez moją fantazję, przy czym w niczym mi to nie przeszkadza, a jest nawet lepsze. Zupełnie jakbym gdzieś poza granicami rozumu, od pierwszego słowa zapalał do niej sympatią, a jej physis miała drugorzędne znaczenie.

Uśmiecham się do niej, nie wiedząc nawet o czym mówić. Ona nieśmiało odwzajemnia uśmiech, wciąż unikając zderzenia spojrzeń.

Zapraszam ją do saloniku. Proponuję herbatę. Na samo wspomnienie herbaty, żółte szmacisko staje mi przed oczami, powodując ścisk w przełyku.

Jest nieśmiała, zakładam na podstawie krótkiej obserwacji. Poprawia loki, gdy się odwróć. I patrzy na mnie, gdy ja nie widzę. Kątem oka, ukradkiem.

Nic dziwnego, taki okaz, taki świr. Sam bym patrzył.

Siadamy, a ja zeznam o szmacianych problemach.

Jestem szalenie zdziwiony tym, że ona nie jest zdziwiona. Może to jakaś znana przypadłość? Może to dla niej rutyna?

Jednym spojrzeniem potrafię wywołać u niej zakłopotanie oraz wypieki na twarzy. Ja też czuję jakieś ciepło wynikające z jej obecności. Człowiek aż chce wskoczyć w kacie.

Ona wyciąga coś z wielkiego neseseru. Urządzenie, coś jakby elektroniczna sekretarka albo bardziej rozbudowany dyktafon.

Popija herbatę, a potem mówi:



– Musi mi pan zaufać.

Ulatnia się pewność siebie szarmanckiego Witka Podrywackiego. To pytanie zwiastuje wkroczenie na grząski grunt.

Ona bierze mnie za rękę i mówi:

– Stan twojego zdrowia wymaga, abyś mi całkowicie zaufał. Nie możesz się bać ani wstydzić. Nie możesz niczego zatajać ani pomijać. Nie możesz kłamać.

Ty, ty, ty! Bezlitośnie bombarduje mnie tym „ty”, z taką lekkością, z taką śmiałością, jakby mi to mówiła tysięczny raz. Jakby mi mówiła: „Ty znów nie opuściłeś deski.”, „Ty znów zapomniałeś kupić ser w osiedlowym sklepie”. „Ty znów powiesiłeś w niedzielę szmatę na balkonie”.

„Tylko ty mi tu nie kłam, nu nu nu!”

A równocześnie w tym „ty” jest tyle ciepła.

Mniej więcej w tym momencie zdaję sobie sprawę, że choć dalej unika mojego wzroku, to nie ma w niej typowej dla nieznanomych ciekawości, takiej która każe wodzić oczyma po szafach, stolikach i sufitach, poszukując ciekawostek, oceniając czystość, czy odkrywając prawdziwe „ja” gospodarza. Agata nie lustruje otoczenia, nie stawia z nabożnością szklanki na podstawce. Porusza się po moim mieszkaniu z lekkością.

– Najpierw musisz zdać sobie sprawę z twojego stanu. Nie będę ci wszystkiego dokładnie tłumaczyła. Nie teraz, po defragmentacji, dobrze?

– Dobrze. – De-czym?

– Masz wszczepiony taki implant. Jego zadaniem jest pomóc twojemu mózgowi, gdy pojawiają się zaburzenia w przesyłce informacji między synapsami.

Niby jej słucham, ale znów ogarnia mnie niepokój. Pamiętam jakby coraz mniej. Chyba po nią zadzwoniłem, prawda?

– Aniu, to ja po ciebie zadzwoniłem, prawda? – pytam z dziecięcą szczerością.

– Nie no, kurwa, ja nie mogę! – nagle wykrzykuje Agata.

Puszczą moją dłoń, wstaje, porywa torebkę, biegnie na balkon.

Skołowany siedzę tak, z dłonią w powietrzu.

Słyszę, jak płacze. Wyciąga fajki, zapala i chlipie.

Wiedziony instynktem wychodzę do niej. Gorąc, szmata w kąciku, kobieta na moim balkonie. Kładę jej dłonie na ramionach.

Robi nerwowy ruch, jakby chciała je zrzucić, ale nie zrzuca.

O nic nie pytam, sama mi mówi.

– Czemu nazwałeś mnie Anna?

– Nie wiem, tak jakoś. Musiałem zapomnieć, jak masz na imię. Przepraszam.

– Nic nie rozumiesz! Jak ty bardzo nic nie rozumiesz – wzdycha.



- To akurat się zgadza – przytakuję.
- Słuchaj, musisz współpracować – wydusza z siebie. – To wszystko da się fajnie odkręcić. Już to kiedyś...  
– urywa zakłopotana.
- Będę – rzucam szybko, bo kłopotce mnie jej zakłopotanie.
- To się nigdy nie skończy. Po co ja się w to wpakowałam...

Wzruszam ramionami, bo co tu mówić.

Agata dopala, wyrzuca niedopałek na szmatę, bierze głęboki wdech. Wracamy i od razu przechodzimy do rzeczy. Ona włącza ten dziwny dyktafon, ja siadam naprzeciw urządzenia.

- Synapsy, mówiłam o synapsach, pamiętasz? – mówi rzeczowo.
- Pamiętam. – To słowo dziwnie brzmi w moich ustach.
- Ten implant miał za zadanie zapobiegać nawrotom choroby. Wychwytywać momenty przejścia i w ten sposób blokować alternatywną jaźń.

Oczywiście! Teraz pamiętam. Nacisnęła jakąś zapadkę u mnie w mózgu. Teraz tym wyraźniej przypominam sobie doktora Wagnera, szpital, kurację, dyskusję na temat nowatorskiego rozwiązania. Tylko kiedy to było, chyba dawno temu?

- Tak, teraz już wiem – przytakuję.
- Wiem, że teraz wiesz – mówi smutnym głosem.
- Co dalej? – dopytuję.

Wreszcie wyławiam jej wzrok. Jest w nim tyle żalu. Mój żal jakby traci na znaczeniu wobec jej żalu. Może zaproszę ją jeszcze kiedyś na herbatę? Już bez szmaty, bez zapominania.

- Dalej... dalej jest to, że implant miewa tendencje do rozsynchronizowania. Zaczyna nie dopuszczać prawidłowych sygnałów, zacierać je, skutkiem czego...
- Niech zgadnę, zapominam co jadłem na śniadanie.
- Właśnie.
- I to jest odwracalne? – pytam z nutą nadziei.
- Tak – przytakuje, ale odwraca głowę.
- Nie? – rzucam z desperacją.

– Tak, tak! – zarzeka się, zmieszana. – Tylko potrzebna jest defragmentacja właśnie. – Wskazuje urządzenie na stole.

Teraz jej wierzę, teraz mam zaufanie. Mój los w ślicznych dłoniach Agaty. To o niebo lepiej niż w rękach przypadku.

- Co mam robić?
- Odpręż się – nasze dłonie znów razem. – Musisz być wyluzowany, musisz mi ufać.

Następnie opowiada coś, aby mi było miło. Coś o tym, że jestem fajnym facetem, inteligentnym, ciekawym, oraz że ze schizofrenią zaimplantowaną z całą pewnością można żyć. Robi ze mnie bohatera,





pioniera nowej terapii, która siłą rzeczy musi mieć trudne początki. Dzięki mnie dokona się postęp. Dlatego właśnie należy mi się szacunek. Ona szanuje mnie bardzo.

Czy ja widzę łzę?

– Zgódź się – instruuje Agata, jakby rozchwiana.

A ja czuję, jak coś ciśnie mi się do głowy. Intruz, tak jakby. Siłą rzeczy walczę z nim.

– Zgódź się – naciska Agata.

Z trudem przełamuję opór. Wizualizuję to sobie, jakbym otwierał drzwi. Jakby następowało parowanie bluetootha.

– Dobrze, jestem – mówi ona.

Jest, wiem to. Ktoś wszedł na dni otwarte mojej podświadomości, a teraz buszuje, dotykając eksponatów. Tu przyłoży rękę, tam spojrzy. To przeczyta, tamto odkurzy. Tu wsadzi palec, tam wyrzuci papierek. Tu przysiądzie, tam przeskoczy.

Transparentność boli. Patrzę na nią cielecym wzrokiem. Ona obdarza mnie matczynym uśmiechem, głaszcząc po włosach.

– Zaraz wszystko będzie dobrze, wszystko naprawimy. Gdybym cię tak zostawiła, to do reszty byś...

– Co do reszty?

– Nieważne. Teraz to zupełnie nieważne. Jeszcze kilka minut.

Nagle widzę poranną herbatę oraz wieczorną kąpiel. Za to zapominam tytułu Bonda.

Ona obserwuje moje zmieszanie, nucąc coś kojącego pod nosem.

Ja obserwuję siebie na szpitalnym łóżku, z zabandażowaną głową, szczęśliwego. Krząta się wokół mnie kobieta. Anna?

Twarz Agaty przybiera wyraz cierpienia.

– Przypomnisz sobie i mnie – mówi.

Wtedy nagle staje wentylator. Taki podsufitowy, który zamontowałem kilka lat temu. Pomagał mi znosić coraz częstsze upały. Nic wielkiego, po prostu będzie goręcej i bardziej duszno. Lecz ona reaguje dziwnym strachem.

– Co się stało? – mówię.

– Nic, nic, chyba nic – rzuca jakby nieobecna.

Bierze do ręki urządzenie, wali po jego klawiaturze. Sprawdza wtyczkę w gniazdku.

– Na pewno nic? – pytam, jednocześnie zdając sobie sprawę, że tajemniczy gość ulotnił się z mojej głowy.

– Może to korki – mówi ona, wybiegając do przedpokoju.

– One są w szafce, za... – próbuję tłumaczyć.

– Tak, wiem – odpiera ostro.



Skąd? – przechodzi mi przez myśl. Po odwiedzającym została dziwna pustka.

Po chwili ona wraca, tym razem już przerażona.

– Trzymaj się! Prąd na pewno zaraz wróci!

– Na pewno – uspokajam ją.

Tymczasem ogniska otchłani pochłaniają Annę. Jedyne co o niej wiem, to imię.

– Agata? – mówię ze strachem.

– Tak?

– Co się dzieje?

– Nic, nic takiego. Jak będzie prąd, wszystko naprawimy.

– A kiedy będzie prąd?

– Kurwa, nie wiem – drży jej głos.

– A jak nie będzie? – dopytuję.

Wtedy ona wpada w czarną rozpacz. Chowa twarz w dłonie, płacze. Co chwila patrzy na wentylator.

– A jak nie będzie prądu? – naciskam.

Ile moje mieszkanie ma pokoi? Gdzie jest szmata do podłogi, bo chyba coś rozlałem?

Agata wskakuje mi na kolana, obejmuje mnie.

– Jakoś damy radę – szepcze łamiącym się głosem.

Nic z tego nie rozumiem. Obejrzałbym Bonda, dawno nie widziałem.

– Jak tylko się obudzisz, wszystko ci opowiem, wszystko przypomnę. Rozumiesz, serce pamięta. To nic, że głowa zawodna.

– Przepraszam, jak pani ma na imię? Moglibyśmy przejść na ty, skoro tu już o sercach mowa.

Zeskakuje ze mnie, patrzy wrogo, jak spłoszone zwierzę. Następnie podchodzi do meblościanki, by wyciągnąć chusteczki higieniczne. Za otwartymi drzwiami widzę damskie kosmetyki i inne fatałaszkę.

– Proszę sobie nie pozwalać – mówię, rozdrażniony. Nie lubię, gdy obcy grzebią w moich prywatnych rzeczach.

– Co? – krzyczy ona. – Ja nie mogę, ja już nie mogę. Ratujcie – lamentuje. – Przecież to jest mój dom, Witek! Jestem twoją żoną!

Podbiega do mnie. Okłada mnie pięściami. Krzyczy.

– Jesteś potworem, rozumiesz! Potworem! Za minutę rozjedziesz się już do reszty, a implant załaduje ci pamięć ostatniego punktu przywracania. Znów, kurwa, wstaniesz, jakbyś był dopiero co po operacji, a jakbym ja dopiero co zastąpiła tę sukę Annę.

– Annę? – bełkoczę.

– Tak! – wrzeszczy. – Annę! Tę Annę, która nie wytrzymała z tobą. Tego ciągłego zaczynania od początku. Ja też nie wytrzymam, cholera.



– Od początku?

Nie wiem czy z przeciążenia emocjonalnego, czy z innego powodu, ale chyba odpływam. Obraz mi się dziwnie rozmazuje przed oczyma.



## POSTĘPOWANIE GŁÓWNE

---

W sali konferencyjnej rozległy się gromkie brawa i pogwizdywania. Laboranci wstali, głośno klaszcząc. Dziewczyny rzuciły się w objęcia chłopakom, którzy przybijali sobie piątki. Na szyjach dyndały im elektroniczne karty, poświadczające dostęp do pomieszczeń o najwyższym poziomie tajności. Wysoki mężczyzna o siwych, postawionych na sztorc włosach i wielkich dłoniach stał między nimi z wyrazem ojcowskiej troski na twarzy. Poklepywali go po plecach i uroczyście ściskali prawicę. On, lekko zmieszany i ewidentnie wzruszony, skromnym gestem dziękował każdemu z osobna.

Jedna z laborantek, młoda brunetka o przyjemnej aparycji podeszła do niego z bukietem kwiatów i skromnym upominkiem. Miniaturową żółtą ścierką zatopioną w przezroczystym sześcianie z plastiku. Naukowiec pocałował dziewczynę w nasadę dłoni, obejrzał prezent z każdej strony, a potem pozwolił zaprowadzić się tuż pod duży ścienny ekran, na którym widniała zatrzymana ostatnia klatka filmu, na której Witold leży omdlały na sofie, a zadowolona z siebie Agata z defragmentatorem na kolanach patrzy w kierunku kamery.

Profesor Wagner spojrzął ponownie na tę scenę, po czym wyuczonym gestem poprosił o ciszę. Bez mała tuzin podwładnych otoczył go półokręgiem. Gdzieś za nimi stał chudy mężczyzna w niedopasowanym garniturze i nudnym krawacie. Na piersi miał przypiętą plakietkę z odręcznie zapisanym nazwiskiem: Kowalski. Patrzył badawczo na profesora.

Siwy naukowiec odchrząknął, po czym zaczął przemowę.

– Drogie koleżanki, drodzy koledzy. Gdy kilka lat temu prosiłem was, byście zostali częścią projektu, uprzedzałem, że wiąże się to z szeregiem wyrzeczeń. Wiedzieliście, że będziecie musieli podpisać klauzule milczenia i od tego momentu nawet najbliżsi nie będą wiedzieli nie tylko nad czym, ale i gdzie pracujecie. Musieliście poświęcić część swojego życia, swój prywatny czas, a niejednokrotnie i karierę w komercji. I to wszystko w imię niepewności, trudów i nieskończonej liczby znaków zapytania. Dziś triumfujemy. Na naszych twarzach maluje się radość. Wpadamy sobie w ramiona. Z tego miejsca, wam wszystkim i każdemu z osobna, gratuluję wytrwałości i niezłomności. Dokonałiśmy czegoś wielkiego. Przetarliśmy nowy szlak w niedostępnej dla nauki dżungli, jakimi są meandry ludzkiego umysłu. Od teraz potrafimy kontrolować wspomnienia. Umiemy nakazać mózgowi, co ma pamiętać, a czego nie. Umiemy uczynić człowieka bezwzględnie posłusznym.

Przerwała mu kolejna eksplozja braw i radosnych pokrzykiwań. Zarumieniony profesor Wagner kiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „tak, zrobiliśmy to”.

Gdy wrzawa ustała, naukowiec postanowił powiedzieć coś jeszcze.

– Jesteśmy zespołem, lecz w sposób szczególny chciałbym wyróżnić naszą nieocenioną koleżankę, Agatę. Bez niej eksperyment nie mógłby się powieść.

Wtedy wywołana filigranowa blondynka o kręconych włosach podeszła do profesora, który objął ją i mocno uściskał. Ktoś z zespołu zasugerował wspólne zdjęcie. Ktoś inny rozdał kieliszki z szampanem. Przy ekranie stanął cały zespół, z profesorem na czele. Wagner trzymał sześcienne pamiętkę w jednej ręce, a drugą wciąż jeszcze obejmował Agatę. Za aparat chwycił chudzielec w garniturze. Ktoś odpalił racę z konfetti. Historyczne zdjęcie zostało zrobione, choć prawdopodobnie nigdy nie opuści utajnionych akt.

Chwilę później wjechały wózki z okolicznościowym bufetem: wykwintnymi kanapeczkami, sałatkami i pasztecikami. Podekscytowani pracownicy laboratorium rzucili się na poczęstunek. Tylko profesor Wagner stanął z boku, obserwując ich z radosną miną. Podeszedł do niego Kowalski.



- Gratuluję – powiedział urzędowym tonem, podając naukowcowi rękę.
- Jest pan świadkiem wydarzeń o wiekopomnych następstwach. Kto wie, może kiedyś będą o tej chwili pisać w książkach – odparł dumnie Wagner.
- Na to bym nie liczył.
- Nawet najtajniejsze badania kiedyś w końcu wychodzą na światło dzienne.
- Czyżby?

Profesor Wagner spojrzał na Kowalskiego badawczo. Błada cera, lekki zarost, krótko ścięte włosy. Okulary w grubych, niemodnych oprawkach i beznadziejny krawat. I do tego ten pełen politowania uśmiešek.– Od początku pan w nas nie wierzył, prawda? – powiedział uszczypliwie profesor.

- Mnie przekonują fakty – wzruszył ramionami Kowalski.
- No to teraz ma pan namacalne dowody.
- Czy ta prowokacja to faktycznie ostateczny dowód?
- Panie Kowalski, miał to pan wszystko w briefinggu.
- Tak... czytałem – odparł okularnik jakby w zamyśleniu.
- Wymazaliśmy Witoldowi część pamięci. Dzisiejsze przedstawienie miało pokazać, że skutecznie.
- I że nie będzie do niej dostępu, choćby pod hipnozą. Rozumiem.
- Dokładnie. Poddaliśmy Witolda ogromnej presji emocjonalnej. Niech pan pomyśli. Mieszkał z Agatą kilka miesięcy, tworzyli parę. Sądził, że jest jej mężem. Po czym udało się nam to wszystko zamazać! Nie rozpoznał jej, nawet w obliczu zagrożenia, które mogłoby odblokować umysł. Po to właśnie wyłączyliśmy prąd.
- A ta ściera? – przerwał mu Kowalski, wskazując na pamiątkowy sześcian.
- Szmata to symbol! Wczytaliśmy go zawczasu. Ma przypominać mu traumę z dzieciństwa, kiedy dostawał lanie z byle powodu, mokrym, cuchnącym gałganem. Już samo spojrzenie na nią wywołuje u niego złość i uczucie niepokoju.
- Rozumiem – powiedział bez przekonania Kowalski. – Wie pan, mój mocodawca musi mieć całkowitą pewność, że metoda działa i jest nad nią pełna kontrola.
- I tak właśnie jest! Pomimo tych wszystkich czynników, tych wyzwalaczy, nawet gdy nasza koleżanka przedstawiła się w końcu jako żona, on nadal nic nie pamiętał! W ogóle jej nie rozpoznał! Czy może być mocniejsze potwierdzenie naszych tez? – mówił podekscytowany profesor, coraz bardziej czerwony na twarzy.

– I ma tego dowodzić cała ta Anna?

– Przecież to ta sama osoba! Pamiętał Annę, ale tylko jako zestaw uczuć. Bez aparycji, wspólnych wspomnień. Uczucie, każące mu podejmować pewne działania. Przecież o to właśnie wam chodziło.

Wtedy Kowalski po raz pierwszy się uśmiechnął, jednak Wagner widział w tym uśmiechu jedynie wyrachowanie.

– A o co chodziło z tym, jak ona to nazwała, punktem powrotu? – zapytał jakby od niechcienia.



– Punkt przywracania systemu. To taki historyczny psikus, że tak powiem. Pierwotnie chciałem, miałem taki pomysł, by zapisać stan umysłu na daną chwilę. Jak to mówią Amerykanie, zrobić taki snapshot, a następnie, już po jakimś czasie, ponownie załadować świadomość z tego momentu. W analogii do komputerów nazywaliśmy to przywracaniem stanu pamięci do danego punktu.

– Ale tak się nie dzieje?

– Ależ skąd! – profesor machnął ręką, po czym odłożył kieliszek. – Mózg człowieka nie ma dysku twardego. Nie ma logiki zero-jedynkowej, jaką znamy. Świadomość, pamięć, doświadczenia wędrują po specyficznych, asynchronicznych, heurystycznych ścieżkach. Nie umiemy poruszać się w poprzek nich. A dla mózgu czas biegnie właśnie w poprzek. Z początku próbowaliśmy tej metody, ale zawsze coś zostawało, jakieś déjà vu, coś w podświadomości.

– Rozumiem – przytaknął ponownie Kowalski.

– Doprawdy? – parsknął Wagner. – Niech pan tylko zapamięta, że czyścić pamięć możemy tylko wzdłuż a nie wszerz, co otwiera możliwości takie jak pan dziś widział. Wymazaliśmy mu Agatę, ale wciąż pamiętał, że oglądał Bonda!

– No tak. A zatem obiekt jest już gotowy do przekazania?

Profesor Wagner zawahał się, mieląc przez moment odpowiedź.

– Jeśli taki jest wymóg, to...

Kowalski przerwał mu wyciągniętym palcem wskazującym.

– Jeśli chce pan dalszego finansowania, to tak właśnie musi być. Ma pan jeszcze innych pacjentów.

Profesor Wagner głośno przetknął ślinę.

– Panie profesorze, proszę do nas! – zawołała Agata, otoczona przez kilku niższej rangi adiunktów.

– Już, złotko. Jeszcze chwilkę – pomachał jej Kowalski, po czym zwrócił się do naukowca.

– Zatem jesteśmy dogadani. Jeszcze jedno, czy udało się uprościć samo kasowanie?

– O tak, właśnie testujemy prototyp urządzenia, które robi to jednym błyskiem. Zupełnie jak zdjęcie.



## WIZJA LOKALNA

---

– Zwiedzanie jest szalenie męczące – myślę sobie, idąc brukowaną, zabytkową uliczką, otoczoną niezbyt wysokimi, za to wiekowymi kamienicami. Od przebytych kilometrów bolą mnie nogi, barki czują ciężar plecaka. Co ja tam takiego mam? Chyba kupiłem kilka książek w jednej z tych małych księgarni, zachwalanych w przewodnikach turystycznych.

Do uczucia zmęczenia dochodzi głód. Wypiłbym coś, przekąsił, usiadł ze smartfonem. Rozglądam się po szyldach, szukając takiego, który by do mnie przemówił. Tu kuchnia staropolska, tam po prostu polska, już z nagłówków ociekająca tłuszczem. Tam pseudo-trattoria. Gdzie indziej prestiż i luksus wyzierający z cennika – chyba nie dla mnie.

W końcu dostrzegam szyld „Sempre – restauracja”. Nie wykwinna, nie domowa, nie wysmakowana. Po prostu restauracja. To mi odpowiada, wchodzę.

Wystrój elegancki, ale bez nadęcia. Małe, przytulne stoliki, głównie czteroosobowe. Przy barze filigranowa blondynka o ślicznych lokach. Wita mnie uśmiechem. Momentalnie zapominam o zmęczeniu, wyprostowuję się i odpowiadam tym samym. Piękna kelnerka to już połowa sukcesu.

– Góra dzisiaj niestety zajęta – mówi przepaszająco, wskazując na antresolę.

Nie patrzyłem tam wcześniej. Faktycznie, restauracja ma półpiętro. Za barierkami widzę kilka stolików. Wzruszam ramionami, mogę przecież usiąść gdziekolwiek.

– Tam w rogu będzie idealnie.

Podaje mi kartę i kieliszek białego wina.

– Przepraszam, ale chyba zaszła pomyłka, niczego jeszcze nie zamawiałem – informuję łagodnie, zdejmując plecak, choć faktycznie nie pogardziłbym dobrym, schłodzonym, orzeźwiającym Rieslingiem.

– Przecież zawsze pija pan do obiadu to samo wino. A może dzisiaj podać coś innego? – Robi zatroskaną minę.

Próbuję ukryć zmieszanie głośnym śmiechem.

– Oczywiście! – odpowiadam, śmiejąc się z niewypowiedzianego żartu.

Otwieram kartę i od razu wiem, gdzie szukać cielęciny. W głowie mam mały mętlik. Ona stoi nade mną z notesikiem i długopisem w drobnych dłoniach. Czy ja tu wcześniej jadłem? Czy próbowałem już tego wina? Czy ja znam tę panią?

– Przepraszam za dosłowność, ale jak ma pani na imię?

– Dowcipniś z pana, panie Witku – odpowiada opierając ręce na biodrach. – Agnieszka, dobrze pan wie!

Próbując jakoś ratować twarz rzucam nonszalancko:

– W takim razie, Agnieszko, przynieś mi to, co zawsze.

Przytakuje, zabiera kartę, odchodzi.

Wzdycham głośno, popijając bardzo dobre wino. Ma temperaturę kilkunastu stopni i jest jakby lekko rozcieńczone wodą, co hamuje naturalną kwaskowość trunku. Myślę przy tym, kiedy tu ostatnio byłem i dlaczego zostałem zapamiętany. Nie umiem odpowiedzieć sobie na to pytanie. Wiem, ba, jestem pewien, że wybrałem się do miasta na weekend, na zwiedzanie. Zmęczony pracowitym



tygodniem postanowiłem zafundować sobie odrobinę kultury. Z całą pewnością wyjeżdżałem już wcześniej, chociaż za nic nie potrafię przypomnieć sobie konkretów dotyczących tamtych wyjazdów.

Zostawmy przeszłość. Dzisiaj! Co ja właściwie dzisiaj zwiedzałem? Krążą mi w głowie nazwy muzeów i galerii. Kawiarenki artystyczne i szyldy o wiekopomnej tradycji. Jednak czy byłem tam, w tych wszystkich miejscach?

Sięgam po telefon i wchodzę do galerii zdjęć. Kilka selfie z rynku. Kawa i obfite śniadanie w hotelu. Jest i muzeum sztuki współczesnej.

Zwalam niepamięć na przemęczenie. Ja, zmotoryzowany mieszczuch, przesadziłem chyba dzisiaj z łażeniem. Z drugiej strony czuję narastający niepokój. Patrzę na swoje palce dotykające telefonu. Wszystko to wydaje mi się obce i swojskie zarazem. Nawet zielona zasłona z frędzlami tuż obok mojego stolika.

Aga przynosi mi zupę krem z pomidorów, z odrobiną oliwy z oliwek i parmezanem. Bardzo lubię krem z pomidorów. Dziękuję jej z wylewnością, obiecując sowity napiwek. Widzę na jej twarzy lekkie zmieszanie. Chciałbym o nie zapytać, ale nie wiem, jak zacząć.

Ma ładne, płynne, kobiece ruchy i łagodność, którą zawsze lubiłem u kobiet. Szczupłą dłonią odgarnia loki, dolewając wina.

Rozsiadam się wygodnie, udając spokój, choć luki w pamięci nie pozwalają mi się zrelaksować. Chyba ze mną nie najlepiej. Może powinienem iść do lekarza? Przemęczenie przemęceniem, ale takie dziury!

– Aniu, doskonała zupa – komplementuję, gdy zabiera pusty talerz.

– Nazywam się Agnieszka – odpowiada cierpliwie, ale chyba ją uraziłem.

Biorę jej dłoń i całuję z przeprosiniami. Nie wyrywa się, tylko śmieje.

Skąd ja wziąłem tę Anię? Kolejne pytanie kiełkuje w mojej głowie. Zaraz po obiedzie powinienem chyba wrócić do hotelu i porządnie się wyspać. Sen jest lekarstwem na wszystko, nawet na zmaćcone myśli.

Na drugie danie są polędwiczki w sosie grzybowym z kopytkami. Proste, smaczne i lekkie danie. Znowu trafiła w mój gust.

Podając mi talerzyk ze sztuczkami, raz jeszcze przeprasza za zajętą antresolę. Spogląda na mnie badawczo. Gdy nie reaguję, dopowiada:

– Gdybym wiedziała, że pan przyjdzie, to może trzymałabym pana miejsce. Choć z drugiej strony, ci rządowi ważniacy mogą wszystko.

– To nic, tutaj siedzi mi się świetnie – stwierdzam machając ręką, jakbym odganiał muchę.

W tym samym momencie zaczynam czuć niewygodę. Pochłaniam polędwiczki, wiercąc się na krześle. Nie wiedzieć czemu mam ochotę pójść na antresolę. Może jak zobaczę moje miejsce, wtedy wróci mi pamięć? Zjadam kluseczki z sosem, czując się tak, jakby tam na górze był ukryty skarb. Skrzynia tajemnic, do której noszę ukryty w plecaku klucz, i w której kryją się odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Oczyma wyobraźni widzę, jak otwieram ową skrzynię i życie wraca na swój tor, a ja, onieśmielony moim zapominalstwem, chowam głowę w dłoniach i wybucham śmiechem. Razem z Agnieszką dworujemy sobie z tego kuriozalnego nieporozumienia.

Postanawiam pójść do toalety. Dziwnym trafem znajduję ją bez jakichkolwiek problemów. Przemysławając twarz zastanawiam się, kim może być ten ważniak, który zarezerwował półpiętro dla





siebie. Wtedy widzę stojące w rogu wiadro z mopem. Leży na nim mokra, śmierdząca, żółta ściera. Sam jej widok jest już odrażający. Nie wiedzieć czemu, niemal czuję jej lepkość na ciele. Przechodzi mnie dreszcz, po czym ogarnia mnie wściekłość. To, że ktoś jest ministrem, nie usprawiedliwia go do zajmowania czyichś miejsc! Do tego właśnie prowadzi degeneracja władzy. Wszędzie przekupstwo, nepotyzm i podwójne standardy. Same osły u tej władzy – burczą pod nosem wsuwając ręce do suszarki. Wychodzę, szerokim łukiem omijając wiadro.

Coś mnie pcha schodami na górę. Jakaś dziwna złość i rozgoryczenie. Przemykam obok Agnieszki, która jeszcze raz przeprasza mnie za zajęcie miejsca, ale nic na to nie może poradzić. Uciszam ją pozornie spokojnym, wręcz zawadiackim gestem. Chwytam się barierki i po kilku susach jestem na antresoli. Tam zatrzymuje mnie mężczyzna ze słuchawką w uchu. Chyba ochroniarz.

– Zarezerwowane – informuje mnie, napinając mięśnie.

– Tak, wiem – odpowiadam łagodnie.

Zza jego szerokim pleców widzę stolik pod lustrem i dwóch mężczyzn przy nim. Jeden z nich, łysiejący, z sumiastym wąsem, siedzi na krzeselku wyściełanym czerwonym aksamitem. Tuż pod ozdobnym karniszem. Nagle widzę siebie, jak tam siadam, jak tam jadam, jak tam pijam wino. Jak tam rozmawiam z Agnieszką.

– Proszę zejść na dół – naciska goryl, dosłownie spychając mnie na niższy schodek.

– Kiedy ja tylko – dukam coś, odmawiając powrotu.

Wtedy wąsacz rzuca mi przelotne, znudzone spojrzenie. Skądś znam tę twarz. Pewnie z telewizji, to oczywiste, w końcu to minister. Ale...

Moment objawienia. Księgarnia, książka.

– Proszę zejść – naciska mnie fizycznie i psychicznie bodyguard.

– Już, już – mamroczę i sięgam do plecaka. – Chciałem tylko autograf.

Wyjmuję gruby tom, na którego odwrocie widnieje zdjęcie wąsacza.

– Zajmę tylko minutę – kłamię uniżenie.

Nie wiem skąd wziąłem to kłamstwo, ani co książka robi w moim plecaku. Mam ochotę wygarnąć tej politykierskiej świętej krowie, że jak tak dalej będą się izolować od ludzi, to ich wywiozą na taczkach, jak w „Chłopach”. Otóż to! Jak tak dalej będą zajmować w restauracjach czyjeś miejsca, to ich wszystkich przywołamy do porządku.

Gość z obstawy odwraca się w kierunku szefa, który skinieniem głowy daje przyzwolenie. Ochroniarz obszukuje mnie jeszcze, na chwilę rekwiruje plecak, po czym puszcza wolno z tomem w rękę.

– Proszę podejść – mówi minister ponaglająco, jakby chciał mieć już tę sprawę z głowy.

Staję przy moim stoliku, przyciskając książkę do piersi. Widzę siebie w lustrze. Zmęczone oczy. Wątpa figura. Zaniedbany mężczyzna koło czterdziestki. Przypomina mi się walka od pierwszego do pierwszego, ciągle rosnące podatki, godność, a właściwie jej brak. Upodlenie – tak, właśnie – upodlenie.

– Chce pan ten autograf, czy nie? – niecierpliwi się polityk.



Właśnie o upodleniu rozmawiałem z Agnieszką. Przy tym stoliku! A może to jednak była Anna? Wspomnienie tego drugiego imienia otwiera zapadnię, pod którą tylko mulisty ból i cierpienie.

– Czy to pan? – rzucam agresywnie, wskazując na podobiznę autora.

– Tak, tak – odpowiada członek rządu, sięgając po kieliszek.

Znowu widzę swoje odbicie. Książka w lewej ręce. Prawa wolna. Anna. O co chodzi z Anną? Tabletki, leczenie, szpital, wenflon kłujący w żyłę. Nier refundowane leki, niewspierane metody leczenia, brak pomocy. To wszystko zalewa mnie nagle, niczym tsunami demoluje do reszty mój poprzedni spokój. Wino buzuje mi w skroniach. Zaciskam nerwowo zęby.

– Słuchaj pan, nie mam czasu. Chcesz pan ten podpis, czy nie? – niecierpliwi się wążacz.

– Chcę – mamroczę.

Jego zniecierpliwiony ton jest kluczem do mojej skrzyni pełnej skarbów. Przypomina mi się, tak, przypomina! Coś jakby instrukcja. Krok po kroku przywołuję polecenia.

Otworzyć książkę.

To skrytka! Jest w niej nóż! – serce skacze mi do gardła.

Wziąć szpikulec w prawą rękę.

Minister zdumiony, nie umie złapać tchu.

Wyciągnąć przed siebie i pchnąć, szermierczym ruchem. Jeden cios za ból.

Krew tryska na biały obrus. Przyjaciel polityka zrywa się z krzesła, próbuje mnie zatrzymać, lecz odtrącam go z łatwością.

Za odsetki, za rentę, za te nędzne grosze.

Wyprawdzam kolejne ciosy jak w retrospekcji.

Za brak perspektyw. Za pogardę, za upodlenie.

Wkładam w nie coraz więcej siły. Klatkę piersiową członka rządu zdobiją kolejne krwawe dziury. Koszula strzępi się po kolejnych uderzeniach.

Ktoś wrzeszczy. Pewnie ochroniarz.

Jak w retrospektywie, która nagle pojawia się w mojej głowie. Rzucić nóż, odejść, unieść ręce ku górze.

Skuwają mnie. Biją, chyba wyzywają.

Mam niewyobrażalne poczucie ulgi i uśmiech na twarzy.

Nagle widzę przed sobą Agnieszkę.

– Pani Agnieszko? – dukam, a ona robi mi zdjęcie, błyskiem po oczach.



## POSTĘPOWANIE WYKONAWCZE

---

Inspektor Dołęga stał nad zlewem, płucząc kubek z fusów po kawie, gdy do pokoju numer czterdzieści jeden Inspektoratu Dochodzeniowego Komendy Głównej Policji wparował starszy inspektor Kolenda.

– Widziałeś to? – huknął. – Dwadzieścia tysięcy kosztowała ta pieprzona drukarka, a zobacz, jak kseruje.

Rzucił na biurko stos kartek zamazanych szarymi i czarnymi plamami oraz przebarwieniami.

Dołęga rzucił okiem na papiery podchodząc do bulgoczącego czajnika.

– Trzeba serwisanta – podsumował, a następnie wsypał trzy łyżki kawy do kubka i zalał wrzątkiem. – Chcesz też?

– Nie, nie chcę! Serwis był tydzień temu. Chwilę podziałało i co?

– Jak było na przesłuchaniu? – zapytał niby od niechcienia Dołęga, zajmując miejsce przy swoim biurku.

– Gównno – burknął Kolenda.

– Dalej nic?

– Zupełnie nic. Nie rozpoznał jej, tej całej Agnieszki, co mu zdjęcie zrobiła. W ogóle niczego nie poznaje. Nie ma nawet pojęcia, że kogoś zabił. Rozumiesz to? Złapany na gorącym uczynku twierdzi, że to nie on.

– Pewnie kłamie.

– Gównno. Przeszedł nawet badanie na wykrywaczu. Według urzędnika mówi prawdę.

– Niesamowite – skomentował Dołęga, popijając kawę. W głębi duszy cieszył się, że to nie jego śledztwo.

– Podobno tak może być, mówią psychole. Dysocjacyjne zaburzenie osobowości, czy jakoś tak. Ma na to papiery. Leczą go od lat w jakiejś tam klinice.

– O kurwa.

– A zostało mi tylko pięć lat do emerytury. Zgrillują mnie, zobaczysz. Media nie przyjmą takiego wytłumaczenia.

Starszy inspektor Kolenda schował twarz w dłoniach.

– Może trzeba jeszcze raz sprawdzić jego przeszłość? – zasugerował z troską Dołęga, po cichu liczący na awans, gdy już jego kolegę zdegradowują.

– Pewnie tak.

– A z tą kelnerką zupełnie nic? Mówiłeś, że się dziwnie zachowywała. Zdjęcia robiła, czy jakoś tak, nie?

– zafrasował się Dołęga.

– Nic. Głupia siksa, pewnie chciała dorobić. Skonfiskowaliśmy jej kartę pamięci. Nic specjalnego. Dobra, idę do starego, pewnie oglądał wideo z przesłuchania. Trzeba jakąś strategię opracować. Dupę chronić. Sam nie wiem.



– Powodzenia – siornął Dołęga.

– A spierdalaj. Żeby mnie jakiś pieprzony świr pogrążył. Witold, co to w ogóle za imię.

Odchodząc trzasnął drzwiami.

Gliwice 2019

Opowiadanie ukazało się w:

Magazyn kultury popularnej **ESENSJA** 01/2020 (ISSN – 1641-3547)

